

ROLA

Rok V.
Kraków, dnia 10 września 1911 r.
Nr. 37.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

W rocznicę odsieczy Wiednia.

13 września 1683 roku.

Ty śpisz, o królu — w swym majestacie
Okryty kirem w śmiertelnej żałobie,
A Polska po Twej bolesnej stracie
Roni łzę dzisiaj przy Twoim grobie.

Ty śpisz snem wiecznym — nie stało Ciebie;
Twoje krolestwo za łup rozdarte;
Srodzy sąsiedzi na polskiej glebie
Drogiej Polonii rozdarli kartę...

Już jej nie zdobią świetne proporce,
Smutek owionął polską krainę,
Miast sławny Chocim, Wiedeń, Podhorce,
Polak zna Sybir i kutą minę...

Czarna chorągiew szumi, szeleszcze
Na grobach ojców na znak żałoby,
Szemrząc, że mściciel z nich wstanie jeszcze,
Jak Ty, o Janie, z dziada osoby...

Jest tam grobowiec w Żółkwi, w kościele,
Na nim wyryto napis spiżowy:
„A z kości naszych wstanie mąż w dziele,
Mściciel z krwi naszej — to głos grobowy!"

I powstał mściciel, Turków pogromca,
Bohater wielki rycerskiej cnoty,
W którym krew dziada grała gorąca —
Pomścił śmierć jego — złamał ich groty...

Dzisiaj daleko Turcy, Tatarzy;
Tu inni goście teraz zjechali;
Lecz my zwróceni w progi ołtarzy,
Żywim nadzieję, że pójdą dalej...

Powstań o królu, zbudź swych rycerzy,
Niechaj powstanie straszliwy bój,
Niechaj czyn stali znowu uderzy
I zbudzi śpiących Polaków rój...

Osierocona Polska w żałobie
Dziś cześć Ci niesie w zaświatów kraj,
Bo choć tak dawno już leżysz w grobie,
Duch Twój wymodli dla Polski raj...

Broniłeś Polski, broniłeś wiary,
Nawet w ościennem państwie tam w dal,
Bo swą ideą żyłeś bez miary,
Duszą swą czystą, twardą, jak stal!

Adam Jesionek.

Rozbójnicze gniazdo.

X.

Choroba Janaszka. — Niepokoje matki. — Przygotowania do oblężenia. — Ucieczka z miasteczka na zamek. — Groźby tatarskie. — Ostrzeżenia dziewczynki.

Noc to była bezsenna cała i niepokoju pełna. Z przestrachu, wzruszenia, ran i wysiłku nadzwyczajnego w obronie miecznikowej i Jadzi, Janaszek dostał gorączki. Chociaż Dulęba ręczył, że rany od strzał tatarskich nie są niebezpieczniejsze nad ukąszenie komara, jednakże kilka z nich wbiło się głęboko w ciało, a wyjmowanie ich rozdarło rany. Korczak stracił wiele krwi, nim ją zatamować zdołano. Trudno go było uspokoić i na łożu utrzymać; zrywał się ciągle z krzykiem wielkim, chcąc biedz na ratunek.

Ksiądz Żudra przyszedł do izby, w której Jadzia ze służącą czuwała nad chorym. Znalazł ją w krześle obok łóżka, z rękami załamanemi na kolanach, z oczyma wlepionemi w chorego, zapłakaną. Kobieta, która jej towarzyszyła, siedziała obok, ale dawno uśpiona. Ksiądz szepnął, aby Jadzia szła do matki, ale Jadzia głową tylko poruszyła. Ksiądz nalegał, wstała więc po cichu i ruszyła się kroków kilka, gdy, jakby przeczuwszy jej oddalenie, Janasz się porwał z krzykiem i zawołał:

— Tatarzy! Tatarzy! Nikita! stawaj, zasłońmy panią, pal!

Gorączkowy, dziki głos Janasza i rwanie się jego jakby szukał oręża, natychmiast Jadzię zwróciły. Przystąpiła znowu do łóżka i odezwała się:

— Proszę leżeć cicho. Jesteśmy na zamku!

Chory zamilkł, obejrzał się, posłuchał; ona powtórzyła raz jeszcze co mówiła; zamruczał coś i posłuszny legł na poduszki. Jadzia mu rękę przyłożyła do czoła, potrzymała ją tak chwilę, i znowu usypiać zaczął. Ksiądz Żudra patrzył trochę zdziwiony i zakłopotany. Dał jej, nic nie mówiąc, znak, aby odeszła. Posłuszne dziewczę odjęło rączkę i wnet chory jęczeć i poruszać się zaczął; spojrzało na księdza, przyłożyło ją i ucichł.

— Panno miecznikówno — odezwał się ksiądz Żudra — już tylko idźcie, ja na niego też sposób znajdę...

Choć z widoczną przykrością i odwracając się ciągle ku niemu, Jadzia wreszcie odeszła. Janasz się ruszył i zaczął jęczeć; ksiądz schylił się ku niemu i przemówił słodko. Reszty już dziewczę nie widziało, bo musiało iść do matki. Zeszło więc ze spuszczoną głową, powoli, zamyślone. W progu miecznikowa ją uściskiem powitała.

— Jadziu moja — rzekła cicho matka — niedobrze, byś tam zbyt długo przesiadywała przy nim.

— Dlaczego? — spytała zdziwiona Jadzia.

— Nie pora ci tego tłómaczyć, dziecko moje, dlaczego nie chciałabym, aby poczciwy Janasz ciągle cię miał na oczach. Już i tak aż nadtoście do siebie przywykli. On młody, jemu się w głowie łatwo przewrócić może.

Jeszcze miecznikówna zdawała się nie rozumieć, ale rumieniec na twarz jej wytrysnął.

— Dlaczego mu się ma zawracać głowa? — odparła powoli. — Myśmy z sobą od dzieciństwa, jak siostra z bratem. Cóż w tem złego?

— Ale ja wam tej braterskiej przyjaźni nie bronię — odezwała się matka zmieszana nieco — tylko niepodobna się tak przywiązywać zbytnio choćby do brata. Żyć z sobą nie będziecie zawsze.

— Jak to? dlaczego?

— Przecież i jego los gdzieindziej powoła... i ty... i ty opuścisz nas, a pojedziesz z kim innym.

Jadzia westchnęła. Stała zamyślona głęboko, jeszcze nie chcąc słów matki zrozumieć i wziąć je za prawdę.

— Przyznam się matuni, że ja... jabym, gdziekolwiek będę, Janaszka wzięła sobie. Ja nie mogę pomyśleć nawet o tem, żeby bez niego żyć.

Niewinne dziecko matka pocałowała w czoło, przycisnęła do siebie.

— Zostawmy to ojcu, dziecko moje — zakończyła matka — to do niego należy. A teraz zaśnij, proszę cię.

Pocałowała w rękę matkę Jadwiga, uczuła krzyżyk, który jej matka zakreśliła nad czołem i wyszła.

Miecznikowa pierwszy raz miała taką znaczącą rozmowę z córką i czuła się niespokojną wielce. Dotąd to przywiązanie wcale jej nie trwożyło. Należało co rychlej ich rozdzielić pod jakimkolwiek pozorem, aby niebezpiecznemu przywiązaniu nie dać się rozrosnąć zbytecznie. Miecznikowa miała nadzieję, że dokona tego zręcznie i jak najmniej dla obojga boleśnie. Ile razy na myśl przyszedł jej mąż, drżała. Poczciwy i zacny pan miecznik powolnym był w wielu rzeczach, ale dla córki marzył losy świetne, może daleko świetniejsze niż matka. Cóżby powiedział, gdyby mu, choćby w żarcie, wspomniano Janaszka, jako przyszłego zięcia?

Tak myśląc, miecznikowa przyszła jednak do przekonania, że obawy jej były próżne, że dziecka nie zrozumiała, i że zgrzeszyła zbytkiem troskliwości. Przeżegnała się, pomodliła, uspokoiła i znużona, gdy dzień już szary do okna zaglądał, padła w krzesło, snem złamana.

Na zamku ruch był wielki. Nikita sam pobiegł na miasteczko do znajomego Abrama po radę i zapasy żywności. Nadspodziewanie całą rodzinę zastał na nogach. Wiedziano o wszystkiem, co się stało, i o ucieczce Dorszaka, a stary wnosił także, iż orda na zamek napadnie. Właśnie jeden z rodziny zbierał się prosić, aby ich przyjęto do zamku, bo najazd musiał naprzód nawiedzić bezbronne miasteczko.

— Zabierajcie co najwięcej żywności ze sobą — zawołał Nikita — i nie opóźniajcie się ze schronieniem na zamek, bo — (tu szepnął mu w ucho) — most spalimy.

— Ja to chciał mówić — rzekł Abram — inaczej się opierać trudno.

— Dulęba to cała nadzieja, on nas może uratować, jego się Tatarowie boją — on jeden im straszny; a no...

Nie dokończył Abram i nachylił się do ucha Nikicie.

— Jest lepsza u nas kryjówka niż na zamku, a no, już może do niej późno. W miasteczku o niej nie wie osób wiecej nad dwie lub trzy. Dorszak napróżno zawsze starał się ją odkryć. Tajono ją przed nim. Kilkaset lat temu już, jak się ludzie w niej od napadów tej dziczy kryli.

— Gdzie?

— W górach niedaleko jest pieczara, do której trafić, kto nie wie, jest niepodobna. Wielu już ona tysiącom ocaliła życie; ale zapóźno do niej, a w biały dzień nie można.

— Zatem na zamek — rzekł Nikita — możecie się schronić i wy, i kto z wami będzie, ale żywność zabierajcie... Jeżeli Tatarzy do nocy nie nadejdą... no, a pani zechce, przyszłej nocki możemy się schronić do pieczary.

Wyszedł Nikita, a choć jeszcze dzień zaledwie się obiecywał, na miasteczku spotkało go dużo lu-

dzi. Wszyscy chodzili niespokojni. Spędzano bydło, ładowano wozy, niektórzy prosili się na zamek, inni milcząc wybierali się w góry i parowy. Wszyscy niemal pewni byli, że Tatarzy przyjdą. Znali Dorszaka dobrze.

Nikita pobiegł na zamek z nowiną o pieczarze wprost do pułkownika, który w izdebce księdza Żudry dnia oczekiwał, wcale kłaść się nie myśląc. Popijał co mu dawano, przekąsywał co się znalazło, ziewał i gadał nieustannie. Gdy Nikita ze swą obwiązaną głową zjawił się we drzwiach, Dulęba właśnie opowiadał ze szczegółami księdzu, jak się kochał w Agafii i jak ona naówczas wyglądała. Klął, wzdychał i pił, cały rozogniony tem, że mu los zdarzył ją dziś z tego okropnego wyzwolić lochu.

— Cóż ty powiesz? — odezwał się — obracając się do wchodzącego Nikity.

— Wszystko co było zrobić można, to się już zrobiło. Most do podpalenia gotów. Z miasteczka ludzi dużo na zamek dolny ciągnie, by się schronić i co mają żywności, to zabiorą z sobą. Ale — rzekł — gdybyśmy się wcześniej opatrzyli, byłby może lepszy sposób, niż na zamku ich czekać. Ludzie tu wiedzą o pieczarze, do której się niejeden raz kryli przed Tatarami.

— Myślisz, że Dorszak i Tatarzy o niej nie wiedzą?

— Tak mówią.

— Alboż nie było już tu takich historyj, gdy po kilkuset ludzi dymem duszono w tych jaskiniach? — rzekł Dulęba. — Tam, gdy wyszpiegują, niema ratunku; tu przynajmniej bronić się można, a choćby poledz uczciwie.

Tymczasem już żydzi, Rusini, Ormianie, Wołochy, koczowali popod murami przy kupach rzeczy swych, węzełkach i worach, które tu pościągali. — Widok był osobliwy tego spłoszonego ludu obojej płci, leżącego i siedzącego na ziemi. Stary Abram ze spokojem człowieka, który dopełnił, co mógł, przywdział śmiertelną koszulę, obwiązał rękę i odprawiał modlitwy, nie zważając na to, co go otaczało. Zamek już był pełen, a z miasteczka jeszcze ciągnęli opóźnieni przez most i rozkładali się w bramie i na wałach.

Na moście stała straż od świtu. Dulęba siadał już na koń. Odwrócił się, głową żegnając Nikitę i księdza i zatętniało tylko po nim na moście. Na zamku kto mógł się wdrapać na mur, spoglądał z góry. Niektórzy na dachach siedzieli. Na wypadek szturmu, starsi ludzie nagotowali kamieni, kupami je kładąc, bo starym obyczajem niemi się tylko bronić było można, dział nie mając dostatkiem ani prochu. Z pierwszego podworca bruk prawie cały wydarto i co gdzie było gruzu pościągano wszystek.

W miarę jak czas upływał spokojnie, otucha wchodziła w serce. Lecz nikt napowrót do miasteczka nie odchodził. Nadeszło południe, mglista dolina leżała cicha i pusta.

Na górze już ze dniem, ledwie przespawszy się, powstawali wszyscy. Ksiądz porzuciwszy Janasza, który głębokim snem usnął nareszcie, przygotowywał się do odprawienia mszy świętej, choć noc całą prawie spędził na czuwaniu. W maleńkiej kapliczce zebrało się kilka osób, klękła miecznikowa z córką, modlili się wszyscy gorąco, było za co dziękować i o co prosić. Dziwny gwar ludu, który się tam zgromadził, dochodził z dolnego zamku aż tutaj — przerywając modlitwę. Tak się rozpoczął ten dzień niepewności i trwogi.

Ksiądz zastał na górze Janasza, uśpionego głęboko i pilnującą go kobietę, także snem zmożoną. Usiadł z brewiarzem koło łóżka, oczekując przebudzenia. Tak upłynęła godzina może, westchnienie słyszeć się dało, potem krzyk, i Janasz się zerwał, oczyma przestraszonemi wodząc dokoła.

— Co to za gwar? — spytał, nastawiając ucha. Wtem wszedł Nikita.

— Co to za gwar? — powtórzył Janasz.

— A no ludzie z miasteczka, co ich tu pełne podwórze — odparł Nikita, nie rozumiejąc, aby co taić było potrzeba. — Wszystko to się ściągnęło ze strachu.

Janasz spojrzał.

— A o cóż obawa?

– A Tatary! — zawołał Nikita — toć wszyscy mówią na pewnika, że Dorszak ich tu naprowadzi.

Dopieroż Janaszowi wszystko powoli wytłómaczyć musiano, a Nikita mu wyśpiewał nawet historyę Agafii. Janasz słuchał z uwagą.

— Cóżeście zrobili dla obrony zamku?

Dworak z chlubą opowiadał, jak się doskonale urządził.

— Chwała Bogu! — rzekł Korczak — nie czuję się dziś źle, muszę wstać, aby się też na coś przydać. Gorączka przeszła, rany nie znaczą nic.

— Zaczekaj tylko chwilę, proszę cię — rzekł ksiądz — póki ja nie wrócę.

Nikita zabawiał go rozmową, gdy ksiądz Żudra się wymknął i poszedł o wszystkiem uwiadomić miecznikową, która się zaraz sama iść wybrała. Jadzi radziła zostać, lecz dziewczę spojrzało tak smutnie i błagająco na matkę, że mu wreszcie iść pozwoliła z sobą. Wśród rozmowy z Nikitą weszły obie. Janasz poruszył się i zarumienił.

— A, pani! — zawołał — przebaczcie, jam już dawno na nogach być powinien, wstyd mi, że leżę.

— Zakazuję waćpanu się ruszać, pod posłuszeństwem — odezwała się miecznikowa. — Niema żadnej potrzeby, ani obawy. Ludzie sobie uroili, że nas i tu mogą napaść Tatarowie, że ma ich Dorszak naprowadzić, ale to czyste sny są i strachy.

Jeszcze mówiła miecznikowa, gdy ogromny krzyk dał się słyszeć od dolnego zamku. Zadrżeli wszyscy. Nikita się rzucił zaraz. Cisza trwała chwilę, potem gwar. Wszyscy pobiegli do okien, ale stąd nic widać nie było. Już miał się ksiądz Żudra wybrać na zwiady, gdy Nikita zdyszany powrócił.

Miał kawał żółtego papieru w ręku i minę trochę skłopotaną.

— Kto ich wie, co to jest! — odezwał się, papier podając. — Jakiś człek od gór, cwałem, świszcząc, przyleciał do mostu, na moście papier rzucił i wnet nazad w las uciekł. Niepodobna było za nim puścić się konno.

Miecznikowa, Jadzia, przychodzący właśnie ksiądz Żudra zebrali się nad tym tajemniczym papierem, usiłując go przeczytać. Nie była to rzecz łatwa, bo pismo było nieczytelne, pomylone, blade, nie wiedzieć w jakim języku pisane, było do zrozumienia trudne. Rodzaj pieczęci z liter jakichś splątanych wybity był u spodu. Musiał to być znak Szejtana.

Tatar groził na zamek napaścią, zniszczeniem, mieczem i ogniem, lub żądał okupu, który na wagę oszacowany, a oprócz tego wydania całego mienia Dorszaka, jego sług i żony w lochu zamkniętej.

— Ale jakaż pewność, że okupiwszy się, jutro nie będziemy napadnięci — odezwała się miecznikowa.

Ksiądz milczał. Spojrzeli na Janasza, który cały drżał. Nikita pokornie u drzwi stojąc, czekał, nie śmiejąc się odezwać.

— Proszę jaśnie pani — rzekł w końcu — nie mogąc się powstrzymać — ja jestem głupi chłop, ale ja tak sobie myślę, że gdyby oni mieli siłę i moc

nad nami, pocoby się prosić potrzebowali i tak nad nami litować?

— Masz słuszność — dodał Janasz — z rozbójnikami w targi wchodzić nie godzi się. Pani miecznikowo dobrodziejko, pozwólcie mi wstać, obejrzę obronę, nie może to być, ażebyśmy się ich tu mogli lękać. Pułkownik Dulęba obiecał posiłki.

Miecznikowa zadumała się nad papierem. Skinęła na Nikitę, szepnąwszy mu, ażeby szedł po Dorszakową, a sama z córką zeszła do swego mieszkania. Janaszowi sił niecierpliwość dodała; począł się zaraz z łóżka dźwigać i odziewać. Pani Zboińska jeszcze stała nad tą kartą, z którą nie wiedzieć co począć, gdy weszła Agafia.

Widok jej mógł przestraszyć, tak wybladła była, zbrukana i jakby nieprzytomna. Od wyjścia ze swego więzienia nie poprawiła nic na sobie, zapomniała o wszystkiem. Włos rozpuszczony spływał na ramiona, oczy pałały jakimś ogniem rozpaczy i przerażenia. Weszła, stanęła, ale z powagą odbijającą dziwnie od tego wynędznienia i opuszczenia, nieulękniona ani uporzona widokiem miecznikowej, która ciekawe na nią skierowała wejrzenie.

— Co ludzie mówią? co ten człowiek mi powiadał? — odezwała się nagle, nie skłoniwszy nawet głowy. — Mnie mają wydać? czy ja jestem czyjem bydlęciem?

— Mąż się o was upominą — odpowiedziała miecznikowa — tak sądzę. Złego mieliście męża, to prawda, lecz jesteście jego żoną.

— Ja? jego żoną? tego co mnie więził w lochu? tego zbójcy i złoczyńcy? — poczęła gwałtownie, podnosząc ręce Agafia. — Ja go znać nie chcę! ja go przeklinam! Pani — poczęła, rzucając się wśród izby na kolana i załamując dłonie — ulituj się nad nieszczęśliwą! Wy nie znacie tego człowieka! wy nie wiecie, co ja z nim wycierpiała! Któż to wypowie?

I łzy się jej rzuciły z oczu. Kobiety popłakały się wszystkie, zbliżyły do niej i pocieszać zaczęły. Ksiądz Żudra stał zadumany.

— Cóż zrobić z tym papierem? — rzekł cicho.

— Wyrzucić go precz! — zawołała Agafia.

— Idź i bądź spokojna — odezwała się miecznikowa.

Gdy się ta scena odbywała w izbie miecznikowej, Janasz już był wstał i, choć się czuł słabym, zeszedł na dół. Zbladłą miał twarz, rozognione oczy, siły wyrabiała w nim wola. Nim otworzył drzwi, powiedział sobie, iż nie da poznać, co cierpi, że być musi zdrowym. Wszedł z uśmiechem na ustach.

Agafia odeszła, zaczęto na nowo rozczytywać się w papierze. Dwanaście godzin czasu dawał w nim Tatarzyn do złożenia okupu, a snać gdzieś w pobliskich górach czaty mieć musieli, gdyż nakazywali białą na baszcie wywiesić chorągiew, albo, jeśliby żadnej nie było do wieczora, grozili napadem.

— Na tatarską wiarę zdać się niepodobna — rzekł Janasz — na zamku bronić się można, choćby z garścią małą. Tatarowie dział nie mają, mury wysokie są i mocne, a broń przecie, której dosyć jest na nas, a ciżba ludu, w obronie własnej także czynną być musi. Dziej się wola boża!

Słowa te powtórzyła miecznikowa.

— Dziej się wola boża!

Nikita podsłuchiwał pod drzwiami, obawiał się, ażeby dla spokoju okupu nie dano. Odszedł prawie uradowany i siadł pod murem, z chlebem i ogórkiem w ręku.

W drugim dziedzińcu obcych nie było, bo ich tu nie wpuszczano. Większa część ludzi obiadowała i gwarzyła w dolnej izbie, reszta na basztach i przy murach czatowała. Zdziwił się, podniósłszy oczy, Nikita, gdy w tem samem miejscu co wczoraj, zobaczył znowu Horpynkę, stojącą z fartuchem w zębach. Wyglądała tak, jakby i teraz chciała coś powiedzieć.

— Cóż ty tak stoisz pod murem? — zapytał.

— Ja coś mam powiedzieć — szepnęła — ale się bardzo boję.

Nikita skinął, aby podeszła; zawahała się, obejrzała lękliwie i kołując powoli, przybliżyła się ku niemu.

— Ona już powróciła — szepnęła szybko — Tatiana.

— A! — zawołał Nikita. — To cóż?

— Ona już tu nie darmo. Widziałam, jak się wkradała, a potem, ona tu zna kryjówki wszystkie, mysze dziury, ona tu pani, jej tu nikt nie znajdzie!

Schyliła się ku Nikicie.

— Siedziałam pod szopą, gdy weszła przelękła. Wśliznęła się gdyby wąż, zobaczyła mnie, podbiegła. »A, ty tu? żmijo!« Ona mnie nazywa żmiją! Ona sama gorsza od żmiji! I w ucho mi krzyknęła: »Jak słowo powiesz komu, żeś mnie widziała, uduszę«. Albo to ona zadusić nie może? Może, ale ja nie mogę milczeć. Tyle dusz chrześcijańskich — ona wszystkich zgubić gotowa. Ona może, ona może!

Nikita słuchał zdziwiony i niespokojny razem.

— Mówże gdzie ją szukać? jak ci się zdaje?

— Albo ja wiem — szepnęła — tu lochy a lochy i pod lochami lochy, het — wszędzie, w murach nawet jakieś chodniki. Kto tu co znajdzie? Tu strach mieszkać i duchy złe i ludzie źli mogą się skryć. Podstarości tu wie jeden a Tatiana druga.

Zamilkła nagle. Spojrzała na zamyślonego Nikitę i poczęła się odsuwać popod murem. Zabierała się do ucieczki. Powoli skradała się do wrot, obejrzała wokoło i umknęła.

Nikita nie wziął tego tak bardzo do serca, co mu oznajmiła Horpyna. Zdawało mu się, że jedna kobieta niczem grozić im nie może, i że to nawet wspomnienia nie było warte. Wstał więc, aby czaty obejrzeć i gwar nieznośny na pierwszym dziedzińcu uspokoić, potem wyjrzeć na most, gdyż tam najpilniej trzeba było strzedz się, aby w porę podpalić. Wieczorem spodziewano się posiłku od Dulęby.

Czas poobiedni zeszedł prędko i mrok padać zaczął, a obiecanych żołnierzy nie było. Zdawało się nawet, iż przybyć już nie mogą. Obawiając się, aby na moście nie zaniedbali się ludzie, gdyż tu ciągle zwijało się dosyć gminu z miasteczka i w rozmowę ich wciągali, Nikita sam noc tu przebyć postanowił.

Janasz wcale się do snu nie sposobił; potrzeba było czuwać. Wieczorem przyszła gorączka, ale ta raczej pomogła niż zaszkodziła, dawała siłę choć kosztem życia i chwilowo. Któż się z godzinami jego rachuje, gdy mu chodzi o spełnienie świętego obowiązku?...

Owinięty płaszczem Korczak postanowił od jednej do drugiej chodzić straży i czuwać nad ludźmi, których łatwo mógł uśpić pozór bezpieczeństwa.

Ludzie stali nadstawiając ucha. Na zamku nakazano milczenie i czaty się tylko odzywać miały prawo.

Kilka razy wychodził Janasz na jednę i drugą basztę, usiłując przejrzeć gęste ciemności, lecz noc pokryła świat tak grubą zasłoną, że zaledwie niebo od ziemi rozróżnić było można.

Miecznikowa świadoma niebezpieczeństwa dzielić je chciała z innymi, nie kładła się więc i z różańcem chodziła po izbie, zamyślona o domu, o mężu, i o dziecięciu, i o powrocie do Mierzejewic. Niepokoiło ją to, że Dulęba słowa dotrzymać nie mógł, a ludzi było niewielu, Janasz słaby i nikt, oprócz Nikity, zastąpić go nie mógł. Posyłała kilka razy

dowiadywać się o niego, czy poszedł odpocząć, odpowiadano jej, że nie wraca do mieszkania i czuwa z innymi.

Ksiądz Żudra, choć ochotny wielce, sprawy rycerskiej zapomniał był, i małą mógł być pomocą.

Ludzie stali na miejscu. Najmniejszego szelestu, żadnego znaku niebezpieczeństwa. Nikita pilnował także i wesołą rozmową ludziom dodawał otuchy... Koguty piały już na północ. W powietrzu nic się nie zmieniło; chmury ciemne ciągnęły nisko nad ziemią i deszcz zwiększał się jeszcze. Na dolnym zamku gromada ludzi, poosłaniana rozpiętemi radnami, poprzytulana do daszków i szop, tuląc się pod wozy, zasypiała. Czasem tylko rżenie koni lub beczenie owiec zbitych w kupę, przerywała tę ciszę straszną oczekiwania. Godziny wydawały się długiemi jak wieczność.

Janasz powrócił na górny zamek, wszedł na jednę z baszt, popatrzył w ciemności, powrócił na dół i trawiony myślami i gorączką, błądził z miejsca na miejsce ze wzrastającym w duszy niepokojem. Koguty zapiały raz wtóry, sił na tę przechadzkę brakło, owinął się więc w płaszcz, usiadł w progu, oparł się o drzwi i pozostał tu na straży. Czaty się obwoływały.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W oczekiwaniu wieści z pod Wiednia.

Gdy w r. 1683 Jan III Sobieski wyruszył pod Wiedeń, wszystkie umysły w całej Polsce były rozgorączkowane oczekiwaniem na wieści, jakie stamtąd nadejść mogły. Po dworach i dworkach gromadziła się szlachta i omawiała możliwy wynik niepewnej wyprawy. Sądzono powszechnie, że lubiany król nie przysporzy tam chwały orężowi polskiemu, gdyż wrogów była moc niezmierzona a wojsk polskich garstka stosunkowa niewielka. Znaną była sława oręża polskiego, ale niemniej znaną zaciekłość, upór i chęć zwycięztwa u hord tureckich.



Wieści jednak jakie nadeszły rozpromieniły nawet najobojętniejszych; zwiastowały one bowiem pogrom Turków a chwałę niebywałą oręża polskiego. A gdy zwycięzcy powrócili do gniazd rodzinnych, opowiadali swe przygody starym wiarusom, zwilżając usta winem. Opowieści owe przeciągały się nieraz późno w noc, a często dobrze z czupryn się kurzyło.

Na obok umieszczonym obrazku widzimy starego wiarusa i wojowników, którzy powrócili z pod Wiednia, przy winie w szlacheckiej komnacie. Wygląd szlachty i jej otoczenia zupełnie inny niż dziś, ale nie dziw, gdyż od owej chwili minęło już przeszło dwieście lat. Wiele rzeczy zmieniło się od tego czasu na świecie, więc i ludzie zmienić się musieli.

Zdania staropolskie.

W dawnych aktach, zapiskach i pamiętnikach polskich znaleziono garść przysłów staropolskich, doskonale malujących upodobania i charakter naszych przodków. Oto niektóre z nich:

Dukat — to nie kwitek,
Miodek — to napitek,
Bigos — to potrawa,
Kulig — to zabawa,
Burka — to pokrycie,
Lisy — to podszycie.
Kiedy hojno — to we złocie,
Gdy pracować — to już w pocie,
Kiedy zbrojno — to ze szablą,
Kiedy z miną — to już z dyablą,
Bankietować — to już szumnie,
Sejmikować — to już tłumnie.
Kiedy spić się — to jak Bela.
Kiedy spoić — przyjaciela,
Gdy pomagać — to sowicie,
Kiedy bić — to należycie,
Kiedy pościć — to na sucho,
Kiedy palnąć — to już w ucho.
Gdy kto w biedzie — to zaradzić,
Gdy dać słowo — to nie zdradzić,
Kiedy wspierać — to rodaka,
Kiedy tańczyć — krakowiaka.
Sąsiadować — to spokojnie,
Gdy obdarzyć — to już hojnie,
Gdy docierać — to obcesem,
Kiedy niszczyć — to z kretesem,
Gdy malować — to swobodę,
Gdy wyśmiewać — to już modę.
Kiedy hulać — to z drugiemi,
Gdy umierać — to w swej ziemi,
Kiedy order — to za bliznę,
A jak zginąć — za Ojczyznę!

Pas Najświętszej Panienki.

Zbliżało się święto Najświętszej Panny Maryi. Nie było jeszcze ziemi i aniołowie nie wiedzieli, co złożyć na wiązanie przeczystej duszyczce, która już przebywała w niebie od wieków. Wreszcie umówili się, że każdy zrobi z promieni słonecznych jaki miły podarek dla Najśw. Panienki.

Nazbierali więc najpiękniejszych, najjaśniejszych promieni i każdy w ukryciu zaczął pracować nad swym darem.

Nazajutrz, zaledwie Najświętsza Panienka ze snu się ocknęła, zeszli się aniołowie z życzeniami, a każdy z nich chciał być pierwszym. Wtedy Najświętsza Panienka, śmiejąc się z ich sprzeczki, kazała bramę otworzyć na oścież, aby wszyscy razem wyjść mogli.

Aniołowie powitali Królowę niebios śpiewem tak przecudnym, że aż się Najświętsza Panienka rozpłakała ze wzruszenia. Zaczęli potem składać dary swoje, a wszyscy niemal zrobili kwiaty. Cherubini ofiarowali róże, Serafini lilie, inni aniołowie zrobili pantofelki, najwięcej zaś było skromnych fiołków.

Cieszył się Bóg Ojciec z radości Najśw. Panienki i rzekł do niej:

— Stworzę Ci koszyczek, aby żaden kwiatek nie zginął.

I stworzył Pan Bóg nasz świat: ze zwierzętami, morzami, górami i ludźmi i umieścił go na obłoku u stóp Najświętsza Panienki. Złożyła tam podarunki swoje i dziwiła się, jak kwiaty rozwijały się, rozkwitały i rosły. Kwiaty te złożyła na ziemi.

Tymczasem kwiatki zaczęły okwitać i wtenczas duszyczki ich, jak barwne motyle, obsiadły sukienkę Najświętszej Panienki. Zapytała więc Pana Boga co ma uczynić z niemi?

— Zrób z nich dla siebie pas na sukienkę — odrzekł Stwórca.

I uplotła Panienka pas piękny, a tak długi, że mogła się nim trzy razy owinąć. Aliści kiedy zaledwie raz nim opasała swą kibić wiotką, zły duch przerwał obłok, na którym spoczywała ziemia. Kula ziemska osunęła się w przepaść, ale Najświętsza Panienka spostrzegła to, zarzuciła koniec nieowiniętego jeszcze pasa i ziemię uchwyciła w locie.

Obłoki zamknęły się nad otworem, a na ziemię spadł pierwszy deszcz. Kiedy przestał padać, zdumieni ludzie ujrzeli prześliczny pas różnobarwny i nazwali go — tęczą. Od tej pory ratunkowy pas Najśw. Panienki, tęcza, ukazuje się ludziom zawsze, gdy myślą, że ich niebo opuściło.

Gawędy o Różnych Sprawach.

Ubezpieczenie powszechne.

Nieraz mówi się i słyszy, że temu dobrze się powodzi i że ów ma dobrobyt. Wielu odczuwa, co to jest dobrobyt, ale ściśle to określić jest daleko trudniej. Mówi się, że dobrobyt jest wtedy, gdy się ma wszystkiego podostatkiem, ale przekonamy się, że jeszcze wtenczas niema dobrobytu. Widzimy n. p. lekkomyślnego robotnika, który otrzymawszy w sobotę zapłatę tygodniową siedzi w karczmie i je, pali a przedewszystkiem pije, co wlezie. W ten wieczór on ma jadła i picia podostatkiem a przecież nie można powiedzieć, żeby opływał w dobrobyt.

Dobrobyt jest tylko wtenczas, kiedy jest możność zaspokojenia potrzeb, ale tylko potrzeb rozumnych i to nie tylko dzisiaj lub jutro, ale i na długą przyszłość, bo jeżeli ja obawiam się, że wnet mi środków do życia zabraknie, to chociażbym ich miał teraz dosyć, przecież nie będę mógł o sobie powiedzieć, że mam dobrobyt.

W dzisiejszych czasach o tę przyszłość robotnika starają się coraz bardziej państwa i chcą mu ją zabezpieczyć. Już nieraz pisaliśmy, że w Austryi od dawna obradują nad projektem ustawy o ubezpieczeniu robotników na starość, a także i wieśniaków, ale sprawa idzie ciężko, bo Austrya jest mocno zadłużona, obecnie ma przeszło 12 miliardów koron długu (1 miliard równa się 1000 milionów) a dochody są nie tak wielkie jak w innych bogatszych państwach na zachodzie Europy, a i tak z dochodów tych ogromna część, bo pono około 600 milionów rocznie, idzie na zapłatę procentów od tych długów.

W Niemczech taka ustawa o ubezpieczeniu pracowników pozbawionych zdolności do pracy i ubezpieczeniu na starość już weszła w życie od r. 1889. Obecnie zaś po długim namyśle uchwalono ją we Francyi. Nowa ustawa francuska o ubezpieczeniu obejmuje szerokie koła, przewiduje bowiem ubezpieczenie obowiązkowe wszystkich pracowników i robotników obojej płci, zarabiających nie więcej jak 3000 franków rocznie, zatrudnionych zarówno w przedsiębiorstwach przemysłowych i handlowych jak i w rolnictwie, dalej zatrudnionych tak w służbie państwowej jak i prywatnej, chyba że ci pracownicy już są w inny sposób ubezpieczeni. Prócz tego mogą być ubezpieczeni, ale nie muszą obowiązkowo, którzy mają więcej niż 3000 franków rocznego dochodu, ale mniej niż 5 tysięcy franków. Przed dwoma laty liczba osób we Francyi mogących podlegać temu ubezpieczeniu, wynosiła 11 milionów, a już sama ta cyfra wystarczy, aby zrozumieć doniosłe znaczenie ustawy. Jeżeli weźmiemy pod uwagę rodziny ubezpieczonych, to można powiedzieć, że z dobrodziejstw nowej ustawy o ubezpieczeniu korzystać będzie 25 do 28 milionów osób czyli znacznie więcej, aniżeli połowa ludności we Francyi.

Fundusze na wypłatę wprowadzonych przez ustawę emerytur tworzą się z trzech źródeł: opłat robotników, równych im co do wysokości opłat przedsiębiorców i dopłat ze skarbu państwa. Normalna i najmniejsza zarazem opłata od robotnika wynosi 9 franków rocznie; od kobiety 6 franków. Ubezpieczony pobiera emeryturę 300 franków rocznie w razie niezdolności do pracy i gdy ukończy 65 lat wieku a przez 30 lat wkładki uiszcza. Jeżeli płacił więcej niż przez 30 lat, to otrzyma 410 franków rocznie. Jeżeli jednak płaci wyższe wkładki, to otrzyma też znacznie wyższą emeryturę. I u nas wcześniej czy później musi przyjść ustawa o ubezpieczeniu robotników na starość.

Na Narodzenie Najśw. Maryi P.

Narodziło się nam Dziecię...
„Marya“ imię ma!
To z najsłodszych imion w świecie,
Jakie każdy zna!...

A to Dziecię tak cudowne,
Jak obrazy w śnie...
Gdy nań patrzeć, tak czarowne,
Że się serce rwie!...

Na Dziecinie tej spoczywa
Zmiana świata dróg,
W Niej się dziwna moc ukrywa,
Z niej wynijdzie Bóg!...

Wszyscy wieszcze prorokują
O Dziecięciu tem...
I do miasta przyrównują
I do domu w niem!...

Zwą Ją Zorzą Porankową,
Co z za szczytów gór...
Zapowiada jasność dniową,
Koniec nocnych chmur...

Bożą Ją Oblubienicą,
Siostrą zowią Ją!...
Przyjaciółką i Źrenicą
I Gołąbką zwą!

Ona Panną zwiastowana,
Lecz i Matką wraz!...
Co nam zrodzi tego Pana,
Który zbawi nas...

Ona pierwsza na tej ziemi
Skruszy węża moc!
Który Ewę słowy swemi
Strącił w grzechu noc!..

M. Więcław.

JAN III. SOBIESKI POD WIEDNIEM.



Na szczycie góry Kalenberg król Jan w orszaku swoich wodzów błogosławi oddział 250 husarzy „który“ na jego rozkaz rzucił się w dolinę na 250 tysięcy Turków i zwyciężył na wiekuistą chwałę oręża polskiego.

Rubin wezyrski.

Powieść z roku 1810.

X.

Nagle usłyszałem bicie zegaru w sąsiednim pokoju. Bił powoli, ze zwykłym swym zgrzytem i jękiem i wybił dwunastą. Choć przez trzy blisko tygodnie mego pobytu w tym domu przyzwyczaiłem się już do osobliwszego owego głosu i nie zwracałem nań żadnej uwagi, przecież teraz, w szczególnem usposobieniu mego umysłu, w jakim się znajdowałem, w tej nocy strasznej, burzliwej, jęczącej wśród starych murów zamczyska, to powolne, zgrzytliwe jęczenie zegaru, przejęło mię jakąś dziwną, zabobonną trwogą.

— Dlaczego on bije? — szepnąłem. — Kto go nakręca? bo wkońcu musi go ktoś nakręcać. Ej, do kroćset dyabłów, muszę ja tę rzecz zbadać i przekonać się. Dość tego! Kpić z siebie nie dam!...

Nie namyślając się wcale, cały rozgorączkowany, odsunąłem szafę, chwyciłem pistolet w jednę rękę, świecę w drugą i zbliżyłem się do drzwi, oddzielających mię od tajemniczej sułtańskiej komnaty. W chwili kiedym stawiał świecę na podłodze, ażeby odsunąć rygle, zdawało mi się, że słyszę jakiś szelest za temi drzwiami, jakby szybkie, ciche kroki kogoś, co się oddala. Zatrzymałem oddech w sobie i począłem nadsłuchiwać, szelest trwał jeszcze chwilę wyraźnie, potem jakby lekko drzwi skrzypnęły i cisza, tylko plusk deszczu i szum wichru dochodził do mych uszu.

— Może się mylę — rzekłem sobie. — Tam nikogo niema, to wicher szumi. A wreszcie jeżeli jest kto, tem lepiej... żywy czy duch, pozna się z kulą mego pistoletu.

Chwyciłem oburącz rygiel i odsunąłem go z przeraźliwym zgrzytem, który mię przeraził na chwilę. Wstrzymałem się, bo zdawało mi się, że ten zgrzyt przebudzi wszystkich w domu i począłem słuchać. Ale cisza panowała jak przedtem. Antek chrapał w przedpokoju aż miło. Podniosłem świecę i pistolet i pchnąłem nogą drzwi. Rozwarły się z piskiem na zardzewiałych zawiasach, a zaraz uderzył mię chłód i stęchlizna, wiejąca z ciemnego pokoju. Żwawo przekroczyłem próg i obejrzałem się wokoło.

Był to niewielki, wąski pokoik sklepiony. — Ściany pokryte były zbutwiałą na poły makatą turecką, żółtej niegdyś barwy, oderwane w wielu miejscach szmaty zwieszały się w strzępach. Sufit suto był złocony, zczerniały teraz i pomalowany jaskrawo w najdziwaczniejsze wywijasy. Naprzeciw drzwi, któremi wszedłem, były drugie drzwi, otwarte na oścież.

W kącie przy oknie okratowanem i zapylonem stał pod ścianą ów zegar, który mię tak przerażał i słyszałem wyraźnie miarowy stuk jego wahadła. Oczywiście zbliżyłem się przedewszystkiem do tego zegaru. Mieścił on się w szafie z dębowego drzewa, prześlicznie rzeźbionej w starożytnym guście, ale co dziwniejsza, i co mię zaraz uderzyło, to że w zamku tej szafy mieścił się klucz wcale niezardzewiały, błyszczący.

— Rzecz prosta — pomyślałem sobie — gdyby tego klucza nikt się nie dotykał już nie przez wieki, ale tylko przez parę lat, to byłby zardzewiał. Ktoś tu więc bywa i prawdopodobnie nakręca ten zegar. Zobaczmy czy zamek lekko chodzi.

Zakręciłem kluczem i zamek leciutko się odsunął. Otworzyłem drzwi szafy, także bez najmniejszego zgrzytu i począłem starannie opatrywać zamek. Był czysty a nawet napuszczony olejem.

— Teraz — rzekłem sobie — nie ulega najmniejszej wątpliwości, że tu ktoś bywa, a nie chcąc się zdradzić najmniejszym nawet odgłosem, nasmarował zamek.

Uspokojony na tym punkcie obejrzałem sam zegar. Był to odwieczny, angielski sprzęt, wybornie chodzący i doskonale zachowany.

W pokoju tym zresztą oprócz paru sof, krytych niegdyś żółtym adamaszkiem ze złotemi frendzlami, niczego więcej nie było. Po ślicznej posadzce z różnokolorowego drzewa, pokrytej grubą warstwą pyłu i śniedzi, przeszedłem przez otwarte drzwi do drugiego pokoju. Stanąwszy na progu, uderzyła mię nagle jedna myśl.

— Jeśli tu kto bywa — szepnąłem — to na tej posadzce, okrytej wiekowym pyłem, powinny być ślady jego kroków. Począłem szukać i znalazłem naprzód wyraźne ślady moich butów, ale obok nich i inne. Te drugie kierowały się od zegaru ku drzwiom drugiego pokoju. Były one dość liczne i oznaczały but męski z obcasami, gdyż w owe czasy kobiety nie nosiły trzewików na obcasach. Nie ulega więc już najmniejszej wątpliwości, że w tych tajemniczych pokojach ktoś bywał i to często. Ślady bowiem były świeże i z pod nich wyglądała różnobarwna posadzka, czysta, błyszcząca nawet. Stanąłem we drzwiach, oparłem się o ścianę i patrząc przed siebie w słabo oświetlony pokój, zacząłem zbierać tłoczące się myśli do mej głowy.

— Któż to może bywać w tych dziwacznych pokojach? — pytałem się samego siebie — bez wątpienia nie kto inny, tylko Hiszpan, ale po co? dlaczego mnie wreszcie namawiał, bym tu poszedł? Ha! idźmy dalej, znajdziemy zaraz rozwiązanie zagadki.

Przyznam się otwarcie, że tajemniczość tych pokojów, cisza nocna, której tłem było posępne wycie burzy, woń wieków, bijąca z każdego sprzętu, nastroiły dziwnie mój umysł. Najmniejszy szelest, odgłos własnych kroków przerażał mnie. Stawałem co chwila, nadsłuchując i oglądając się trwożliwie, ażali nie ujrzę jakiejś grobowej postaci, jakiej zaklętej księżniczki, widma wkońcu jakiego strasznego... Ale nic, cisza była, jak przedtem, tylko wicher, wdzierając się w kominy i korytarz, wył nadzwyczaj żałośliwie.

Komnata, w której teraz stanąłem, była znacznie większa, sklepiona, obita karmazynowym niegdyś adamaszkiem ze złotemi kwiatami, które jednak teraz zczerniały, a adamaszek, podobnie jak w pierwszym pokoju, w wielu miejscach odpadł od ściany. Sufit był przepyszny, a na samym jego środku mieściły się obrazy, biegłym pędzlem malowane. Pokój ten miał trzy okna, dość głęboko osadzone w murze i drugie drzwi, prowadzące na korytarz. Tuż przy drzwiach, po lewej od wejścia, mieścił się kominek, czerwonym marmurem wykładany, a nad nim wisiał duży obraz w złoconych ramach. Zbliżyłem się do tego obrazu, podniosłem światło i czułem, że mi na głowie włosy powstają, i pot kroplisty na czoło występuje...

Obraz przedstawiał młodą kobietę, ubraną biało, opartą na kamiennym wazonie. Tło obrazu stanowiła jasna, księżycowa noc i światło miesiąca srebrne, o zielonawych cieniach, oblewało całą postać kobiety, jej jasne włosy, jej twarzyczkę dziwnie piękną, melancholijną .. Ale co mię zgrozą przejęło, to nadzwyczajne, uderzające podobieństwo tej kobiety do Julci. I przypomniałem sobie ową noc, jak zakradł się do mnie Hiszpan, i wskazując na Julcię, szepnął:

— Patrz pan na pannę Julię, gdybym nie wiedział, że to żywa, myślałbym, że to duch jakiś pokutujący, albo zaklęta księżniczka.

I miałem taki cud przed sobą, odtworzony na płótnie z najdokładniejszą wiernością. Tak, to była Julcia, Julcia i jej portret... A przecież obraz był stary, farby nieco poczerniałe, ramy rdzą pokryte, płótno w paru miejscach przedziurawione. Opanowawszy nieco wzruszenie i przypatrzywszy się lepiej temu dziwnemu obrazowi, dostrzegłem w nim pewne różnice z Julcią. Mimo to wszystko, podobieństwo z Julcią tego portretu, bo nie wątpiłem, że to był portret, było uderzające, nadzwyczajne...

— Któż więc to był? — szeptałem — kogo przedstawia ten obraz? jakie tajemnice kryją się w tem wszystkiem? Musi to być jakaś pra-prababka Julci, bo przecie słyszałem nieraz, że rysy rodzinne przechowują się przez ciąg kilku pokoleń nic nie tracąc na swej czystości. Ale ten fez na głowie znamionuje, że to była kobieta ze Wschodu. Więc to owa Turczynka zapewne, co leży na cmentarzu...

Znów mię opanowała zabobonna trwoga — pot kroplisty oblał mi czoło i wśród posępnego świstu wichru słyszałem przyspieszone bicie mego serca. Odwróciłem oczy od obrazu i począłem przeglądać dalej ową komnatę. Z drugiej strony drzwi znajdowały się szczątki łóżka. Zresztą zdawało mi się, że nie ma tu nic więcej godnego uwagi i chciałem się już odwrócić, by robić dalsze poszukiwania, gdy nagle uderzony zostałem jakimś przedmiotem leżącym na posadzce, tuż przy łóżku. Z pewnem drżeniem wewnętrznem podniosłem go i otarłem z kurzu. Tak, był to puginał*) — broń prześliczna, osadzona w rękojeści suto nabijanej złotem, przepysznie cyzelowanej. Ale co najważniejsza, co zgrozą przejęło mię to, że na klindze dostrzegłem ślady krwawej rdzy...


...podniosłem światło...

Ze wstrętem odrzuciłem to narzędzie od siebie. Padło z dźwiękiem, który rozległ się wśród ciszy nocnej, dzwonił, dzwonił, aż ucichł gdzieś w dali... Zatrzymałem oddech w sobie, lękając się by ten dźwięk nagły nie zdradził mię i począłem nadsłuchiwać. Ale było cicho, tylko burza wyła jak przedtem.

W komnacie tej zresztą nic więcej, przynajmniej na pozór nie było godnego uwagi. Pod ścianą obok łóżka mieściła się sofa, kryta niegdyś karmazynowym adamaszkiem, dalej szafa czarna, dębowa, suto, jak wszystkie meble wreszcie, rzeźbiona. Drzwi od tej szafy były uchylone. Zajrzałem wewnątrz. Tu wisiało kilka sukien kobiecych, wyszywanych złotem i srebrem, na pół zbutwiałych, rozpadających się za najlżejszem dotknięciem.

Za szafą w kącie ukryty był stoliczek z marmurowym blatem, a na nim stała szkatułka, przepysznej roboty, misternie rzeźbiona i z napisami jakiemiś tureckiemi, których naturalnie odczytać nie mogłem. W szkatułce tej mieścił się klucz srebrny, także pełen artystycznych u rączki zakrętów i wygięć. Zakręciłem go i spostrzegłem, że szkatułka była otwarta. Lekko podniosłem jej przykrywę i wewnątrz dostrzegłem tylko aksamitny karmazynowy futerał na przedmiot jakiś wielkości dużego laskowego orzecha — ale przedmiotu owego nie było. Zastanowiło mię to nieco — przypomniałem sobie nagle o onym rubinie wezyrskim, który miał być zachowany w tym pokoju.

— Jeżeli ma być w tym pokoju — mówiłem sobie — to nie gdzieindziej jak tylko w tej szkatułce, dla czegóż go więc nie ma?... Ho! ho! ho! byłby to niezwykle duży rubin, wartości krociowej...

Uderzony tem począłem bliżej przypatrywać się szkatułce. Najprzód dostrzegłem, że kiedy wszystkie przedmioty w tym pokoju pokryte były grubą warstwą kurzu, szkatułka była czystą, jakby ją ktoś niedawno miał w ręku. Jakoż wkrótce przekonałem się o prawdzie mego twierdzenia. Na marmurowym blacie stoliczka spostrzegłem wyraźny ślad ręki wśród kurzu.

Zresztą niewiele mię to wówczas obchodziło. Już będąc w pierwszym pokoju z zegarem, nabyłem pewności, że tu ktoś bywa, a nawet był niedawno przedemną — nie badałem więc dalej. — Niestety! czemuż tego nie uczyniłem, czemu nie rozpatrzyłem wszystkich śladów, wszystkich dowodów?... jakichże nieszcześć byłbym, jakiej hańby może przez to uniknął...

Przypatrując się stoliczkowi zauważyłem, że ma szufladę. Wysunąłem więc takową i znalazłem w niej grubą paczkę papierów, owiązaną jedwabnemi sznurkami. Chwyciłem ją skwapliwie i pierwszy wyraz, jaki mi wpadł w oczy, był: »Fatyma, Sułtanka!...«

— A więc tu się mieści tajemnica tego pokoju i rodziny — zawołałem — raz więc dowiem się wszystkiego! Wyjaśni się ta dziwna tajemnica!

I nie oglądając już nic więcej, wróciłem, trzymając paczkę w ręku do siebie i poszedłem przedewszystkiem zobaczyć czy Antek śpi. Spał aż miło, choć nie chrapał, jak zwykle to czynił kiedy spał mocno.

Potem zabrałem się do zamknięcia drzwi od »Sułtańskiej komnaty«. Dość trudno mi to przyszło, gdyż zasuwka była zardzewiała — potem zasunąłem ciężką szafę. Kiedym ukończył tę robotę, postrzegłem że robi się dzień i burza ucichła. Uczułem się tak zmęczony wypadkami poprzedzającego dnia i tej nocy, umysł miałem tak osłabiony i wzburzony, że koniecznie potrzebowałem pokrzepić się nieco snem...

Położyłem się więc w ubraniu i przespałem tak kilka godzin snem ciężkim, strasznym, pełnym dziwnych marzeń... Zdawało mi się, że widzę około siebie Turków, wygrażająaych mi puginałem. A z kąta śmiał się dyabelsko markiz hiszpański.

Kiedym się obudził dzień był zupełny i jasne letnie słońce zaglądało do mnie przez okno.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Nóż, którym w dawnych wiekach walczono.



MACIEK BZDURA GADA:

Okropnie nie lubię ludzi hunornych, którzy się nadymają, jak żaby na jęcmienisku. Takim ludziom, choć co prawda nie ze złego serca, ale ku pouceniu, gdzie mogę, to doskwirzam.

Jak w nasy wsi, tak i wszędzie są takie ludzie, co się jem zdaje, że ich umyślnie Pan Bóg nie z gliny, ale z jakisi papki stworzył i udają Bóg wie jak. Jest i w nasy wsi jeden taki — który, to nie powiem — nazywa się Jędrzej Mydlik. Tatuś nieboscyk zostawili mu ściernaście morgów ornego pola i morgę łąki, a zostawili ino la tego, ze ze sobą wziąść tego nie mogli. I la tego, ze Jędrusiowi tak leciutko gospodarka przysła, bo ino przez jego tatusiową śmierć, Jędruś drze nosa do góry, jak jaki łokonom, a wszyćkich ma za nic. Nawet moi gospodyni nie usanuje, choć to baba, jak pieruny — poćciwa i gadatliwa.

W tamte niedziele po niesporach stała nas cała kupa chłopaków przed Kółkiem i cekaliśmy na pana profesura, co nam miał w Kółku cytać gazyty. Patrzywa, a tu dmucha bez wieś gościeńcem Jędrzej Mydlik.

— Idzie porcelanowy ślachcic — pocęli się śmiać chłopaki.

— Pozdejmujcie capki z głowy — pada Bartek Gwizdała.

— Cichajcie — ja na to — taki psiawiara gruntowiec, co wszyćkich ma za hetkę, pętelkę, warta, aby go naucyć rozumu. Rozbiegnijcie się chłopaki tak, aby co trocha jeden spotkał się z Jędrzejem. Jak się który spotka śnim, niech się mu ukłoni do samy ziemi.

Chłopaki usłuchali cemduchu i porozłazili się ten tu, tamten tam.

Idzie se Jędrzej Mydlik a tu co trochę to jeden skądsiś wyłazi, kłania się i gada:

— Dzień dobry panu Jędrzejowi!...

Za pirsem i drugiem razem to się Jędrzyj uśmichał i cieszył takiem posanowaniem, ale zapóźni poznał się na cem rzec i poczęła go melankolija tyrmosić ze złości.

A chłopaki dalej się mu kłaniają i capkują. Jak juz ni móg strzymać, tak się zwrócił do nas, gdzie się nas znowu kupa zebrała i tak pada:

— Cegóz, chorobniki, jakiesi kumendyje stroicie?

— Wy stroicie całe roki z ludźmi kumendyje — ja na to — to my se chcieli choć raz z was zaśpasować, ale to nie la tego, coby was ukrzywdzić, ino la tego, aby was od panosenia się odzwycaić.

Posiepał się Jędrzej krzynkę, ale gdyśmy mu wytłomacyli, że wszyćkie ludzie na świecie, cy bidni, cy bogaci są równi, udobruchał się i przyrzekł, ze biedniejsych nie będzie postponował.

Wartałoby z kuzdem tak zrobić, który la swego majątku ma się za lepsego od chudobnych, boć przecie wiadoma jest rzec, ze tylko rozum i uściwość cłeka nad innych podnieść moze.

Z TYGODNIA.

Zwołanie Sejmów. Donoszono niedawno, że Sejm galicyjski miał być zwołany na dwutygodniową sesyę z końcem września; obecnie piszą gazety wiedeńskie, że podobno rząd postanowił Sejmu galicyjskiego na razie nie zwoływać. Sesya miałaby być odroczoną aż do ukończenia rokowań polsko-ruskich, aby Rusini, podobnie jak w roku zeszłym nie przeszkadzali obradom przez hałasy, trąbienie, okrzyki, o czem w swoim czasie pisaliśmy. Wydziały krajowe poszczególnych krajów austryackich podobno radzą rządowi zaczekać ze zwołaniem Sejmów aż do chwili, w której parlament uchwali nowy plan finansowy, a zwłaszcza nowy podatek od wódki, z którego połowa ma przypaść w udziale krajom.

Cholera. W ostatnim tygodniu nadchodzą coraz bardziej niepokojące wieści o tej niebezpiecznej zarazie. Zawitała już do Węgier i zaczyna zabierać ofiary w ich stolicy, w Budapeszcie. Szerzy się również w Dalmacyi. Dotąd wszakże w monarchii austr.-węgierskiej wobec sprężystych środków zaradczych, natychmiastowego oddzielania chorych, cholera nie pojawia się niebezpiecznie. Za to szerzy się w dalszym ciągu bardzo we Włoszech. Pisaliśmy już, że miasto Wenecya, gdzie panowała w lecie, zostało od niej uwolniono, teraz jednak znowu Wenecyi zagraża z południowych okolic Włoch. W małych nawet miejscowościach włoskich dziennie umiera przeciętnie po 20 osób. Jak wiadomo, Wenecya leży w bezpośredniem sąsiedztwie Austryi. Setki i tysiące podróżujących, którzy w obecnej porze zwiedzają Włochy, w razie wybuchu w Wenecyi cholery nie zawitaliby do Włoch, wskutek czego tamtejsze miasta i nadmorskie miejscowości bardzoby wiele materyalnie na tem ucierpiały. Jak donoszą gazety od czerwca do końca sierpnia cyfra wypadków cholery doszła do siedmiu tysięcy osób. Najgroźniej grasuje cholera w Turcyi. W Konstantynopolu i innych miastach zbiera zaraza obfite żniwo, umiera tam po kilkadziesiąt osób dziennie.

Rozruchy drożyźniane we Francyi. Z powodu drożyzny środków żywności sprzedawanych na targach, jak jaja, masło, oraz drożyzny mięsa, w wielu miastach i miasteczkach francuskich przyszło do groźnych rozruchów. Rozpoczęły je gospodynie, które oburzone podwyższeniami cen środków żywności, wielu handlarzom zniszczyły i potłukły jaja, masło, jarzyny, zburzyły wiele jatek rzeźnickich. Dopiero wkroczenie policyi uspokoiło rozsierdzone kobiety. W niektórych miejscowościach handlarze wystraszeni spokornieli i sprzedawali swój towar po dawniejszych cenach. Były jednak obok tego masowe pochody, w których brali udział i mężczyźni w liczbie kilkunastu tysięcy. Tłum rzucał się na sklepy, bił handlarzy i sprzedawał towary po niższych cenach. Mnóstwo towarów wyniesiono na ulice i spalono. Dla uspokojenia rozruchów musiało wystąpić wojsko, z którym przyszło do krwawych starć.

Z Portugalii. Nowy rząd Rzeczpospolitej portugalskiej wybrał nareszcie prezydenta; jest nim niejaki Arriaga, z zawodu adwokat, były członek sejmu portugalskiego. Nowy naczelnik rządu liczy lat 75 i podobno odznacza się roztropnością i umiarkowaniem. Nie należy do zapalonych wrogów kościoła, wobec czego spodziewać się można, że ustanie w Portugalii prześladowanie religii i księży katolickich. Arcybiskup Lizbony (stołecznego miasta Portugalii) miał oświadczyć zadowolenie z wyboru prezydenta i nadzieję, że między Stolicą św. i Portugalią stosunki się uregulują ku korzyści szczerze katolickiego portugalskiego ludu.

KRONIKA.

Nie sprzedawajcie siana! Towarzystwo rolnicze okręgowe w Kętach przysłało następującą odezwę: Wskutek braku siana w kraju a jeszcze więcej zagranicą — szczególnie w Niemczech, cena na siano i koniczynę poszła w górę w porównaniu z rokiem poprzednim, co widząc włościanie starają się spiesznie wysprzedać zbywające zapasy. Tymczasem cena, jaką się u nas obecnie zyskuje, nie jest w żadnym stosunku do tego, co płacą za siano zagranicą.

Dzisiaj dowożą włościanie dużo siana na targi, a także dużo go na miejscu sprzedają, a handlarze wyzyskują taką chwilę i gdy dużo siana zwieziono na targ, wtedy handlarze wstrzymują się z zakupnem lub tworzą jedną rękę, aby cenę obniżyć, a włościanie zmuszeni są siano sprzedać, choćby po tańszej cenie, aby go nie nieść z powrotem do domu. Dzieje się to szczególnie na targu oświęcimskim, który jest wprost zasypany sianem, a ceny uzyskane są śmiesznie niskie w porównaniu z tem, co powinno się za siano dostać. Zbadawszy te stosunki, Towarzystwo rolnicze okręgowe na pow. bialski i oświęcimski w Kętach czuje się obowiązanem przestrzedz rolników przed stratą i zaleca wstrzymanie się ze sprzedażą siana i koniczyny na kilka miesięcy, bo później będzie jeszcze lepsza cena.

Straszne czyny obłąkanego. W Bierzanowie młody włościanin Jakób Groblicki cierpi na obłąkanie, przyczem w gniewie okazuje chorobliwy popęd do podpalania. I tak dnia 2 sierpnia podpalił własną chatę, rozgniewany tem, że matka nie chciała mu dać 20 K. Niedawno znów chciał grunt wartości kilku tysięcy koron, odziedziczony po ojcu sprzedać gospodarzom Słowikom za 50 K., a gdy oni naturalnie od niesamowolnego kupić nie chcieli, zagroził im i swej matce podpaleniem i we wtorek, w święto Matki Boskiej o godz. 11 przedpoł. istotnie podpalił wozownię swej matki. Spaliła się wozownia i szopa Groblickich, oraz pełna zboża stodoła ich sąsiada. Niebezpiecznego szaleńca należałoby umieścić w zakładzie dla obłąkanych.

Śmierć podczas dożynków. W Podhorcach, koło Złoczowa, dnia 19 sierpnia odbywała się u zamożnego gajowego huczna zabawa z okazyi częściowego ukończenia żniw. Kiedy około 12 w nocy rozbawiona młodzież miała się rozejść i zebrała się gromadnie w sieni domostwa gajowego, młody parobczak Śliwiński porwał leżącą na półce nad drzwiami strzelbę gajowego w zamiarze dania strzału wiwatowego. Prawdopodobnie w podpitym już stanie zawadził tak nieszczęśliwie kurkiem o sterczącą zasówkę u drzwi, że, szarpnąwszy strzelbą, spowodował strzał, który ugodził najbliżej stojącą 14-letnią dziewczynę Karolinę Lipkównę w lewę rękę i brzuch, raniąc ją śmiertelnie. Wysłano ją do szpitala w Złoczowie, w drodze jednak nieszczęliwa zmarła.

Piorun w chacie. Podczas burzy we wsi Sznyrów koło Brodów pewna wieśniaczka otworzyła drzwi swojej chałupy, aby wylać wodę z blaszanego kubła. W tej chwili uderzył piorun w kubeł, niszcząc go doszczętnie a zostawiając w ręku skamieniałej ze strachu wieśniaczki uszko naczynia. Jej samej nie uczyniwszy żadnej krzywdy, piorun wpadł przez drzwi do wnętrza izby, gdzie przelatując, wywołał u jednego wieśniaka paraliż, a jedną wieśniaczkę pozbawił słuchu. Natomiast mały chłopiec, również wtedy w izbie obecny, nie doznał żadnego szwanku. W końcu piorun wyleciał kominem, czego dowodem są ślady na nim piorunu, dokonawszy fatalnej wizyty w chacie wieśniaczej.

Miłość Hucuła. Młody i przystojny Hucuł ze wsi Zawale na Rusi galicyjskiej, strażnik polowania Hawryło Lokusta, kochał gorąco 19 letnią Maryę Nykieforuk, najpiękniejszą dziewczynę w całem Zawalu i okolicy. Ustawicznie też zabiegał o jej serce, pragnąc ją pojąć za żonę. Był tak zakochany, że pisywał do niej listy własną krwią. Tymczasem płocha dziewczyna wyłudzała tylko od niego różne podarunki, nie myśląc wcale o zaślubieniu go kiedykolwiek. Raz półżartem powiedziała mu, że wyjdzie za niego, jeśli wystawi jej »miejski dom«. Miłość dokazuje cudów. Lokusta, choć pieniędzy nie miał, zapożyczył się i dom swej ukochanej wybudował. Ale i wówczas Marya nie myślała wcale dotrzymać przyrzeczenia. Gdy zwracano jej uwagę, że Lokusta, to jeden z najporządniejszych i najprzystojniejszych chłopców, i że nikt jej tak nie pokocha, jak on, mówiła z niechęcią o nim, że »za mało wesoły i nieśmiały«.



W ostatnim czasie poznała niejakiego Stefana Łukawieckiego, młodego wdowca ze Śniatyna, z mieszczańskiej sfery. Ten pewną ogładą miejską i pochlebnem nadskakiwaniem tak jej się spodobał, że zakochała się w nim i szybko zdecydowała się wyjść za niego. Oświadczyła też bez ogródek Lokuście, że za niego nigdy nie wyjdzie. Mimo to dn. 1 lipca Lokusta znów przyszedł do niej i błagał, by zmieniła zamiar i uszczęśliwiła go swoją ręką. Tymczasem nadjechał z miasta konno Łukawiecki i obaj znaleźli się oko w oko wobec Maryi. Wtedy ta w obecności Łukawieckiego oświadczyła raz jeszcze, by szedł sobie do domu, gdyż Łukawiecki będzie jej mężem i on tu niema co robić. Lokusta posłuchał, odchodząc jednak zapowiedział, że to sprowadzi śmierć dla wszystkich trojga... Łukawiecki i Marya, zabawiwszy się trochę, wyszli na dwór, gdzie nastąpiło czułe pożegnanie, poczem mieszczanin wsiadł na konia, aby odjechać. W tej chwili pojawił się Lokusta i zahuczały strzały. Niebawem Łukawiecki, ranny śmiertelnie, runął z konia — następnie Marya, trafiona celnym strzałem w serce, padła trupem na miejscu, a wreszcie sam nieszczęsny kochanek celnym strzałem w serce pozbawił się życia. Pole przed chatą pokryły trzy ciała, broczące krwią... Obrazek nasz przedstawia tę straszną historyę miłosną, o której ze zgrozą opowiadają sobie Huculi w całej okolicy.

(AB) **Pożar.** Dnia 1 września t. j. w piątek o godz. 10 przed południem wybuchł pożar w Kraczkowej pod Łańcutem. Spalił się dom mieszkalny i stodoła wraz ze zbiorami. W tym domu w poprzedni dzień pito, hulano, śpiewano, gdyż się w nim odbywało wesele. Dla braku wody nie można było nic uratować, pomimo, że były czynne straże ochotnicze, miejscowa i z sąsiedniej Albigowej. Spaliły się wszystkie sprzęty, ubrania i podobno 400 koron. Przyczyna pożaru niewiadoma dotychczas. Podobno podpalenie.

(J. K.) **Wypadek z niedźwiedziem.** Przy końcu sierpnia zdarzył się w Angelówce, powiecie kamioneckim, następujący wypadek z niedźwiedziem: Przy leśniczówce tamtejszej trzyma hr. Badeni dwa niedźwiedzie, które dotychczas zachowywały się bardzo spokojnie. Lecz jednemu z nich, liczącemu 4 lata, uprzykrzyło się już widocznie niewolnicze życie, więc wywalił jedne drzwi, następnie podkopał się pod drugie drzwi i tym sposobem dostał się na wolność. Czując się zupełnie swobodnym, pobiegł na podwórze leśniczówki, gdzie bawił się mały chłopak. Gdy go niedźwiedź zobaczył, skoczył natychmiast na niego, chwycił go w paszczę, podniósł w górę i rzucił go o ziemię. W tej chwili przechodził koło podwórza Ludwik Nowocień, kandydat IV kursu seminaryum nauczycielskiego ze Lwowa, który był u krewnego leśniczego na wakacyach, a który gdy zobaczył co się dzieje, skoczył bez wahania się do niedźwiedzia, chwycił go za kark i odsunął na bok. Niedźwiedź puścił chłopca, któremu cudem nic się nie stało, a chwycił kłami nogę Nowocienia. Nowocień zaś będąc bardzo silnym i zręcznym i znającym też dobrze chwyty do samoobrony, wydarł się z zębów niedźwiedzia i w jednej chwili siadł mu na grzbiet, dusząc go za gardło, lecz niedźwiedź zwinął się i chwycił go za rękę. Nastała straszna chwila szamotania się Nowocienia z silniejszym od siebie niedźwiedziem. Na szczęście Nowocień wydarł się po raz drugi z zębów niedźwiedzia odskoczył w jednej chwili w bok, chwycił za kamień, wymierzył i ugodził niedźwiedzia w samo czoło. Niedźwiedź odrazu zmiarkował się. Widocznie cios był silny. Jednak Nowocień nie przestał na tem, lecz bił tak długo niedźwiedzia w łeb kamieniami, że ten w końcu padł bez życia z roztrzaskaną całkiem czaszką. Lekarz z Buska opatrzył rozdarte rany na nodze i ręce Nowocienia i orzekł, że nie są niebezpieczne. Tak więc Nowocień dzięki zrządzeniu Boga, swej sile i przytomności umysłu wyratował chłopca od śmierci niechybnej a i sam z krytycznego położenia wybrnął prawie że szczęśliwie.

(AB) **Smutne zajście** miało miejsce na weselu w Kraczkowej dnia 31 sierpnia. Pewien 18-letni chłopiec zaczepił na drodze powracającą z wesela dziewczynę także 18 letnią i dla jakichś powodów zaczął ją bić. I zbił ją tak, że niema miejsca na całem ciele wolnego. Gdy ją tak okropnie zbił, odszedł sobie na bok, ażeby się przypatrzeć co ona też zrobi. Ta poleżawszy chwilę, jakoś się zwlokła i zaszła do domu. Opowiada, że go nawet po rękach całowała, żeby jej dał spokój, ale on jako porządny młodzieniec nie ustąpił, aż mu się bicie sprzykrzyło. Proszę wybaczyć, że takie zajście opisuję, ale serce boli. Nieraz się czyta, jak to po innych wsiach młodzież jakoś inaczej pracuje, unika karczmy, a natomiast gromadzi się w czytelni, kółku, urządza przedstawienia i t. p. A u nas? W naszej gminie całkiem na opak. Na muzyce, weselu, młodzieży pełno, ale na ćwiczeniu straży brak. Czasby się było poprawić, bo naprawdę wstyd! Na pochwałę tyle powiem, że znajduje się tutaj kilkunastu młodych gospodarzy i młodzieńców, którzyby chcieli coś zrobić, ale nie potrafią, gdyż nasza inteligencya od nich się odsuwa, ale gdyby pomogła, toby się dało dużo dobrego zrobić.

Za żydowską kamizelkę. Podczas jarmarku w Andrychowie zaszedł oburzający wypadek. Do jednej z tak zwanych »bud« jarmarcznych żydowskich wszedł trochę podchmielony chłopak wiejski w celu zakupna. W czasie »handlu« przyszło między żydem a chłopakiem do wzajemnego szamotania się, w którem chłopak ów rozdarł żydowi przypadkowo kamizelkę, lecz chciał za nią zaraz zapłacić. Ale policya wkroczyła w zajście, a nie mogąc dać rady wzburzonym tłumom okolicznych włościan, które nie pozwoliły aresztować w gruncie rzeczy niewinnego parobczaka, kopała, biła, dusiła za gardło »obwinionego«, w końcu związała go sznurem i skrwawionego, zbitego »odstawiła« do magistratu. Na widok broczącego krwią chłopaka, niesłychane oburzenie opanowało zgromadzoną ludność na jarmarku.

Ukarany złodziej. W Oświęcimiu włamał się do sklepu fabrykanta likierów złodziej, który pragnąc nabrać sobie spirytusu, podniósł wieko beczki. W beczce było tak mało spirytusu, że złodziej zniżył świecę, aby zobaczyć, ile będzie mógł wziąć. Ale za to został srogo, bardzo srogo ukarany, gdyż spirytus wybuchnął i z taką siłą uderzył go wiekiem w czoło, że martwy padł z roztrzaskaną czaszką na ziemię.

Ofiara pijaństwa. Parobek z obszaru dworskiego w Chrewcie, koło Liska, Stefan Dunak, nosił w towarzystwie dwóch innych belki z Rosochatego do tartaku w Chrewcie. Po drodze, wypiwszy nadmierną ilość wódki, upił się do tego stopnia, że wsiadłszy na wóz, stracił w czasie jazdy równowagę i dostał się pod przednie koła, które przeszedłszy przez niego, zmiażdżyły mu wnętrzności i spowodowały pęknięcie wątroby. W pół godziny po wypadku Dunak zakończył życie.

Zderzenie pociągu z beczkami piwa. W Austryi dolnej zdarzył się niedawno wypadek kolejowy, który szczęściem zakończył się tylko zabiciem dwóch wołów i zdruzgotaniem kilkudziesięciu beczek piwa. Na wóz z beczkami piwa, który ciągnęła para wołów wpadł w miejscu, gdzie gościniec krzyżuje się z torem kolejowym, pociąg osobowy, rozbił beczki, i pokaleczył śmiertelnie woły, które musiano na miejscu dobić.



Woźnica, nie tracąc przytomności, wczas zeskoczył z siedzenia, dzięki czemu uniknął śmierci. Przyczyną wypadku, który przedstawia nam obrazek, było zaniedbanie budnika, który przed nadejściem pociągu na czas nie opuścił zapory.

Latawce na usługach wojska. Podczas tegorocznych manewrów armii węgierskiej, po raz pierwszy zastosowano służbę wywiadowczą napowietrzną. Każdy z lotników obowiązany był wzlecieć w ciągu dnia dwukrotnie. Pierwszy dzień próby wypadł niepomyślnie, z powodu silnego wiatru, ale nazajutrz lotnicy każdej ze stron armii, zlecieli na zwiady bez przeszkody. Każdy miał umieszczoną obok kierownika mapę, na której obowiązany był oznaczyć położenie armii, określić mniej więcej liczbę i rodzaj broni. Podług złożonych raportów próby te wypadły pomyślnie, co pozwala przypuszczać, iż maszyny do latania będą pożyteczne w rękach stron walczących ze sobą.

Pani generałowa — złodziejką. Niezwykłe wrażenie w Wiedniu wywołało aresztowanie żony byłego generała armii austryackiej, Pauliny v. Werner, pochwyconej na gorącym uczynku kradzieży. Pani Wernerowa, rozwiedziona z mężem od kilku lat, przemieszkiwała w swojem mieście rodzinnem Temeszwer na Węgrzech, gdzie dzięki stanowisku jej męża utrzymywała stosunki w najpierwszych domach. Korzystając z tego i ufna w to, że nikt jej nie będzie podejrzewał, kradła w tych domach pieniądze, kosztowności, nawet ubrania. Czynności Wernerowej wykryły się w domu niejakiego Haunolda. Korzystając z tego, że gospodyni domu zajęta była gośćmi, pani generałowa dostała się do sypialni i poczęła kieszenie swoje obładowywać kosztownościami. Złapano ją na tem, a rewizya dokonana w jej mieszkaniu przyniosła zdumiewający wynik. Znaleziono tam różnych cennych przedmiotów na sumę 20.000 koron.

Żona otruła męża. W Praskowicach na Morawach zmarł otruty fosforem 84-letni właściciel ziemski, Franciszek Sverak. Jak się okazało, otruła go 40 letnia żona, pragnąc pobrać się z młodym kochankiem. Śp. Sverak był tak lubiany powszechnie, że, gdy żonę trucicielkę prowadzono do więzienia, sąsiedzi rzucili się na nią i tylko obronie żandarmów zawdzięcza, że jej nie pobito na śmierć.

Pies ocalił chłopca od kłów niedźwiedzia. Pewien obywatel ziemski w Dalmacyi wyszedłszy na polowanie, wziął z sobą dziewięcioletniego synka. Chłopiec był silny, wytrzymały na trudy, nieraz więc ojcu podczas łowów towarzyszył. Naraz w lesie, gdy oddalił się o kilkadziesiąt kroków od ojca, ten ze zgrozą ujrzał, że niedźwiedź, co nagle wypadł z krzaków, rzuca się na dziecko, pies jednak od razu tak wściekle zaczyna targać go za kudły i kąsać, że rozjuszony »miś« odwrócił się do niego, zadając mu pazurami i kłami śmierć w paru chwilach, chłopiec zaś tymczasem drapie się na pień drzewa.



Minutę może trwało to wszystko: rzucenie się niedźwiedzia na chłopca, potem na psa i ucieczka chłopca na drzewo, dzięki jednak poczciwemu psu dziecko ocalało, a ojciec trzema celnymi strzałami powalił potem niedźwiedzia, który za chłopcem próbował wspinać się na drzewo. Obrazek nasz przedstawia najniebezpieczniejszą chwilę, gdy niedźwiedź pazurami dosięga chłopca.

117-letni weteran. W Styryi mieszka i ma 117 lat weteran nazwiskiem Steinacker, który brał udział w kampanii napoleońskiej przeciw Rosyi, a przed 12 tu laty z okazyi 105 rocznicy urodzin przedstawiony był cesarzowi Franciszkowi Józefowi, jako najstarszy człowiek w Austryi.

Walka żandarma z dziećmi. W miejscowości Algise pod Szegedynem na Węgrzech, przyszło między bawiącymi się chłopakami wiejskimi do bójki. Przechodzący właśnie tamtędy żandarm chciał położyć koniec krwawej bójce. Wówczas chłopacy rzucili się na żandarma z okrzykiem: zabijmy go! Było ich kilkunastu, a natarli na żandarma tak gwałtownie, że ten, aby nie zostać przez nich powalony i rozbrojony, musiał zrobić użytek z broni i jednego chłopaka zastrzelił, a czterech zranił.

Żywcem spalona. Jak niebezpiecznem jest nalewanie nafty do palącej się lampy, przykładem następujący wypadek: W Obrowie, w Poznańskiem, piastunka Anna Rój nalewała naftę do palącej się lampy; w tem nafta się zapaliła, konewka 10-litrowa wybuchła a dziewczyna jak słup ognisty wybiegła na podwórze. W tej chwili ugaszono na niej płomień i pozdzierano tlące się odzienie, lecz poparzenia były tak poważne, iż odesłana do szpitala ofiara własnej nieostrożności już nazajutrz zakończyła życie w męczarniach.

Stuletni szewc. W tych dniach obchodził w Szamocinie, w Poznańskiem, majster szewski, Zaborowski 105-tą rocznicę urodzin. Staruszek cieszy się stosunkowo dobrem zdrowiem, humorem i lubi młodym opowiadać ciekawe historye z dawnych lat, na które patrzył własnemi oczyma.

Dowcipni posługacze szpitalni. Gazety donoszą, że w jednem z miast prowincyonalnych w Królestwie Polskiem posługacze szpitala żydowskiego wpadli na taki koncept: W każdą sobotę przynoszą nabożne żydówki chorym do szpitala rozmaite ciasta, owoce i tym podobne dobre rzeczy. Posługacze tedy na tę porę pakują do łóżek swe żony lub krewnych, albo sami się kładą i udają chorych, żeby otrzymać owe smakołyki.

Tęcza w nocy. W miejscowości Biłgoraj, w Królestwie Polskiem, w ubiegłym miesiącu, pewnej nocy około godz. 11, podczas pełni na północno zachodniej stronie nieba ukazała się chmurka, zaczął padać deszcz i zaraz potem pojawiła się piękna tęcza, nieco bledsza, niż bywa przy świetle dziennem, ale zupełnie wyraźna.

Zabobonna wieś. We wsi Łagiewniki Małe, w Królestwie Polskiem, włościanin tamtejszy Antoni Budziarski wzniósł około swej zagrody płot, a że wykończył go akurat w dzień św. Marka (25 kwietnia), więc sąsiedzi, a głównie sąsiadki kumoszki, poczęły przepowiadać, że będzie źle... I rzeczywiście zło przyszło w postaci suszy, która zaczęła trapić na dobre. Nadomiar złego gdzieniegdzie spadły deszcze, a w Łagiewnikach ani kropelki. Sądzono, że winien temu płot, bo św. Marek obrażony, że nie uszanowano jego dnia, wstrzymuje chmury. To też przed paru dniami, skoro niebo zasłoniło się ciężkiemi chmurami, włościanie postanowili płot zburzyć, bo nuż znowu święty Marek wstrzyma chmury. I rzeczywiście płot rozebrali do ostatniego kawałeczka, a deszcz lunął jak z cebra. Padał wprawdzie i gdzieindziej, ale nikt tego nie może wytłómaczyć zabobonnym włościanom, wierzącym święcie, że płot w dzień św. Marka ukończony, był jedyną przyczyną suszy.

32 złote wesela. W Łodzi w kościele N. P. Maryi na Starem Mieście ks. Gniazdowski pobłogosławił 32 pary małżeńskie, które obchodziły 50 letni jubileusz pożycia, poczem odbyło się 32 złotych wesel krzepkich jeszcze par staruszków.

Klęska deszczowa. Podczas gdy u nas od długich miesięcy panują upały i posucha, na Wołyniu i Podolu pod zaborem rosyjskim padają od kilku tygodni nieustanne deszcze, zadając dotkliwą klęskę rolnictwu, burząc nadzieję pięknych zbiorów, jakie z początkiem lata się zapowiadały. Po jednym dniu słonecznym były tam dwa lub trzy dni słotne. W niektórych wsiach całe niwy stoją pod wodą.

Nabożny świętokradca. W kościele świętego Krzyża w Warszawie służba kościelna zauważyła od kilku dni brak różnych przedmiotów, pozawieszanych na ołtarzach, postanowiono więc wyśledzić złodzieja. Przed paru dniami zuuważono jakiegoś człowieka, żarliwie się modlącego, mimo że kościół już wszyscy opuścili po nabożeństwie. Służba ukryta zwróciła na to uwagę i rzeczywiście ów nabożny, nie przypuszczając, że jest śledzony, przerwał nagle modlitwy i zajął się obrywaniem wotów z ołtarza. Wtedy go przychwycono. Zeznał, że nazywa się Stefan Aleksandrowicz, że jest stałym mieszkańcem Piotrkowa i siodlarzem z zawodu, pozostającym obecnie bez zajęcia. Tłómaczył się z głupią miną, ze świętokradztwo popełnił cztery razy, aby w ten sposób zdobyć środki do życia.

Sztuczki złodziejskie. W dzielnicach żydowskich Warszawy bandy złodziejów kieszonkowych urządzają coraz częściej umyślnie bójki uliczne, by sobie ułatwić gospodarowanie w kieszeniach gromadzącego się tłumu. Dwaj należący do bandy złodzieje nie żałują sobie razów, często nawet walka kończy się dotkliwem pokrwawieniem, lecz im zawziętsza bitka, tem pewniejszy skutek. W ostatnich czasach dzięki tej nowej sztuczce złodziejskiej dokonano na ulicach Warszawy licznych kradzieży.

Gorące źródło. Niezmiernie rzadkie źródło, bo z gorącą wodą wytrysnęło niedawno w miejscowości Piła pod Szelejowem, w Królestwie Polskiem. Ciepłota wody jest wysoką, bo wynosi 28 stopni.

Szlachetność ludu litewskiego. W dobrach Płungiany na Litwie spaliły się wszystkie zabudowania dworskie, stodoły, stajnie, śpichrze, obory, szopy z narzędziami rolniczemi, nawet część żywego inwentarza. I oto objawiło się współczucie najbliższych sąsiadów, gospodarzy wioskowych. Na pierwszem zebraniu płungiańskiego kółka rolniczego, liczącego do 60 członków, deputacya włościan przemówiła serdecznie do dziedziczki Płungian, Michałowej ks. Ogińskiej, wyrażając współczucie z powodu nieszczęścia i ofiarowując jej własną pracę i pomoc w sprzątaniu reszty zbiorów. Nazajutrz włościanie zaczęli już stawać do roboty. Księżna z prawdziwem wzruszeniem przyjęła te dowody współczucia.

104-letni rabin ojcem. Z Adamowa w gub. siedleckiej donoszą do gazet warszawskich, że w tych dniach zmarł tam rabin miejscowy, Chil Mona, mając lat 104. Był on rabinem w rozmaitych miasteczkach przez lat 70 bez przerwy. Zmarły zostawił 6 dzieci, z których — co najciekawsze — najmłodsze ma zaledwie pół roku. Druga żona rabina jest jeszcze młodą kobietą.

Policmajster rosyjski mordercą dwóch żydów. W Uralsku, mieście położonem niedaleko Orenburga nad rzeką Ural, było dwóch przedsiębiorców żydów: Benjaminowicz i Białostocki. Obaj ci żydzi wnieśli do prokuratoryi skargę na policmajstra Liwkina, że ich rujnuje, domagając się ciągłych łapówek. Rozgniewany tem Liwkin podjechał dorożką pod dom Białostockiego i spotkawszy w kramie jego młodszego syna zapytał, czy jest w domu Chaim Białostocki. Kiedy mu odpowiedziano, że jest w domu, rzekł, aby Białostockiego doń zawołano. Liwkina poproszono, aby wszedł do mieszkania. Tam na zaproszenie aby usiadł, powiedział, iż nie przyjechał po to, żeby siedzieć i, wyjąwszy szybko rewolwer, dał do Białostockiego, mierząc wprost, pięć strzałów. Jedna kula trafiła w brzuch, druga w usta, reszta w szczękę i czoło. Skon nastąpił natychmiast. Liwkin z zimną krwią odwrócił się, wyszedł z podwórza i siadł do dorożki, krzyknąwszy: »Popędzaj prędzej!« — a potem rzekł do woźnicy: »Zabiłem jednego«. Pojechał. Na ulicy spostrzegł Benjaminowicza, idącego do domu. Zawołał nań, wyskoczył z dorożki, chwycił Benjaminowicza lewą ręką za ramię, prawą zaś wyjął z kieszeni rewolwer i strzelił do Benjaminowicza dwa razy. Starzec na miejscu upadł, a policmajster siadł do dorożki i na odjezdnem krzyknął:

— Oto teraz próśb więcej nie będzie on pisał!

Strach pomyśleć, jacy ludzie zajmują wybitne stanowiska w Rosyi. Podobna samowola i dzikość możliwą jest tylko wśród dzikich plemion w Afryce, gdzie naczelnik plemienia ma nad gromadą, której przewodzi, prawo życia i śmierci.

Bunt w więzieniu rosyjskiem. Często przytrafiają się w Rosyi bunty więźniów z powodu opłakanych stosunków w tamtejszych aresztach i znęcania się nad więźniami. Niedawno w Jekaterynosławiu zbuntowało się siedmiu więźniów, rozebrali piec i przez otwór w ten sposób uzyskany wtargnęli nocą do sieni, na korytarz, gdzie drzemał na ławce żołnierz z bronią w ręku. Odebrali mu broń, położyli trupem, gdy się na nich rzucił i opanowali izbę piekarską, gdzie się zatarasowali.



Gdy do piekarni weszła warta, gotowa do strzelania do zbuntowanych, jeden z więźniów odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru, który wydarł żołnierzowi. Bunt skończył się wkrótce na skutek wezwania dyrektora więzienia, który pod groźą śmierci kazał aresztantom się poddać. Obrazek nasz przedstawia chwilę, gdy do zatarasowanych w piekarni więźniów weszli żołnierze z dyrektorem więzienia na czele.

Znowu pożar lasów. W miejscowości Wanhum na granicy niemiecko-holenderskiej wybuchnął niedawno pożar lasów rządowych i rozszerzył się z taką szybkością, że objął wkrótce przestrzeń 50 kilometrów kw. W płomieniach zginęło kilku ludzi. Pastwą ognia padły też liczne gospodarstwa włościańskie w przerwach pomiędzy lasami. Mieszkańcy osad okolicznych, przylegających do lasów wywieźli ruchomości swoje na pola odległe. Ogień ugaszono dopiero po kilku dniach.

Pogromy żydowskie w Anglii. Podczas ostatnich strajków w Anglii stała się rzecz niezwykła, w Anglii niesłychana — zaszły pogromy żydów, które trwały trzy dni. W mieście Tregedar po pierwszych pogromach powtórzyły się zaburzenia na drugi dzień. Nie oszczędzono ani jednego sklepu. Podobne rzeczy działy się w kilku innych miejscowościach. Tłum rzucał się na sklepy i poturbował wiele osób, rozstępując się dopiero na widok nastawionych bagnetów wojska. Wkrótce jednak zbierano się po innych miejscach. W Breenmar, gdzie były tylko dwa sklepy żydowskie, rozbito je, a potem rzucono się na domy zamożnych ludzi, próbując je rozgrabiać. Tamę tym rozruchom położyło dopiero wojsko, przyczem wiele osób zraniono.

Sprytny dziennikarz. Niedawno zjawił się w mieszkaniu siostry Ojca św. pewien człowiek, który się przedstawił jako pracownik gazowni, a w trakcie oglądania urządzeń gazowych zapytał też o zdrowie papieża. Zapytana w szerokich słowach, zwyczajem starszych kobiet rozpowiedziała mu wszystko, co wiedziała. Ze zdumieniem ujrzała tego dnia wieczorem, wszystko co mówiła, w jednej z gazet rzymskich, której redaktor wziął się tak na sposób, by uzyskać wiadomości o zdrowiu Papieża; siostry Papieża bowiem wszystkim dziennikarzom dawały zazwyczaj bardzo niechętnie i ogólnikowo tylko wyjaśnienia. W dwa dni po tym wypadku zjawił się u siostry Ojca św. prawdziwy urzędnik gazowni, by zbadać stan urządzeń, i... został sromotnie wyrzucony za drzwi jako podejrzany o próbę powtórzenia raz udałego podstępu.

Samobije w szkołach angielskich. Kara cielesna praktykowana jest stale w szkołach angielskich, ponieważ jednak przy jej wykonaniu może wchodzić w grę nerwowość, niecierpliwość lub gniew nauczyciela, zatem pewien pedagog wynalazł automatyczny przyrząd do bicia. Chłopak zostaje znieruchomiony, poczem za przyciśnięciem guzika spada rózga i uderza tyle razy, ile nauczyciel wyznaczył. Zastosowanie tego »samobija« podobno rozszerzyło się bardzo w szkołach angielskich, jak twierdzą tamtejsze gazety.

Zaciekłość przeciw murzynom. W stanie Georgia, w Ameryce północnej, wzrasta wciąż nienawiść ludności białej przeciw murzynom; w ostatnich czasach doszła wprost do takiej zaciętości, że pomiędzy murzynami szerzy ogromną trwogę. Biali poprzysięgli zemstę za morderstwo, dokonane na osobie marszałka Newbury przez murzyna Jakim. Wzburzeni właściciele gospodarstw przeciągają całemi bandami i zabijają murzynów, gdziekolwiek ich napotkają. Od ubiegłego czwartku zamordowali już pięciu; podpalili cztery ich szkoły i pięć kościołów, gdzie gromadzą się na modlitwy. Jakim zbiegł bez śladu. Murzyni uciekają gromadnie. W swej zaciekłości biali postanowili wytrzebić ich na całym obszarze stanu Georgia.

Piorun uratował życie. W pewnej przędzalni w Ameryce półn., robotnik, Wiliam Heffner, pochwycony pomiędzy koło rozpędowe a pas otaczający dwa dalsze będące w ruchu koła. już był bliski śmierci, gdy w tym momencie piorun uderzył w przędzalnię, powstrzymał motor elektryczny i koło, które miało zgnieść Heffnera na śmierć — stanęło. Szczęśliwy robotnik śmiało może mówić, że cudem życie ocalił.

Bohaterscy podróżni. Podczas częstych wypadków pożaru w teatrach i cyrkach i tym podobnych katastrof, gdy tłum ludzi w okropnym strachu pcha się ku wyjściom, mężczyźni zazwyczaj odpychają kobiety i tratują, aby tylko sami się ocalili. Ale bywają wypadki, że podczas takich nieszczęść mężczyźni postępują szlachetniej, prawdziwie po bohatersku. Oto przed niedawnym czasem parowiec, płynący do południowej Ameryki, rozbił się o skały podwodne. Spuszczono więc na morze łodzie ratunkowe i wsadzono do nich kobiety i dzieci. Kiedy już łodzie były pełne, kazano wsiadać mężczyznom. Ci zaś widząc, że groziłoby to wielkiem niebezpieczeństwem łodziom przepełnionym, odmówili pozostali na tonącym okręcie z kapitanem i w oczach odpływających kobiet i dzieci poszli z podziurawionym statkiem na dno. Rozdzierającą tę chwilę przedstawia nasz obrazek.



Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Franciszek Marzec w W.: »Noworoczna modlitwa« jakkolwiek dobra przyszła do kalendarza na 1912 r. zapóźno, gdyż pierwsze arkusze już wydrukowane a na wstęp daliśmy wiersz Ferdynanda Hądza z Grzegorzówki. Utwór Pański zachowamy do przyszłego roku. Za pamięć serdeczne dzięki. — Mateusz Zięba w O. B.: Nadesłana szarada błędna, więc nie będzie drukowana. — Franciszek Zdeb w Cz.: Nadesłana łamigłówka dobra — umieścimy. Rozwiązanie wierszem udatne, lecz druga szarada znaczy: »karłowaty«, a nie »ladajaki«. — Józef Kapuściński w L.: Nie możemy przewidzieć, czy wszystkie prace nadesłane na konkurs będą w tym roku wydrukowane. Chociażby jednak drukowane nie były aż w przyszłym roku, to do nagrody prawo mają, o ile będzie można uznać je za najlepsze. Pamiętniki Maćka Bzdury w Kalendarzu będą bardzo ciekawe. Cały Kalendarz na 1912 r. będzie nadzwyczaj interesujący, a treść wkrótce w »Roli podamy. — Karol Pazdan w S.: I my jesteśmy tego zdania, że tylko ludzie bez charakteru danych obietnic nie dotrzymują. Przekona się Pan, że i Pańskiego rzekomego przyjaciela spotka kiedyś podobna bolesna przykrość, jaka Pana obecnie z jego powodu spotkała. Niedotrzymywanie obietnic jest conajmniej nikczemnością. — Jan Cetera w T.: Wiersze dobre. — Łukasz Bierut w Z. i Czesław Sobowiec w G.: Za zmianę adresu należy się 40 h. Władysław Kisała w K.: Za numera nic nie żądamy. — Antoni Kościelny w Sz.: Ubolewamy, lecz my temu nic niewinni. — Jan Kopka w Ś.: Gdy tylko kalendarz będzie ukończony, po otrzymaniu brakującej kwoty wyślemy go. — Wacław Tomaszewski w P.: Wierszyk do niniejszego numeru przyszedł zapóźno — schowamy go na później. — Władek z Łęgu: Rozwiązania wierszem nie wydrukowaliśmy, gdyż było niedokładne.

Potwierdzenia prenumeraty:

Prenumeratę półroczną po dwie korony przysłali PP.:

Jan Kaczmarek z R., Mróz Andrzej z G., Wojciech Samek z B., Zbroja z Cz., Zimoląg Józef z N. W., Sanetra M. z K. Oprócz tego nadesłali PP.: Kud Józef z R. (2 K. 40 h.), Szczepański Franciszek z O. (1 K.), Marek Józef z Z. (1 K.), Tryczyński Teofil z N. (1 K.), Kutyba Piotr z B. (1·40 K.), Nowak Piotr z W. (1 K.), Gul Władysław z W. Z. (1 K.), Aleksander Nogaj z J. (3 K.), Mikosiak Jan z J. (1 K.), Flis W. z L. (1 K.).

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 5 września:

Buhaje	Kor.	120	do	350	za sztukę
Woły	„	200	„	350	„
Krowy	„	120	„	250	„
Jałówki	„	90	„	156	„
Cielęta	„	20	„	70	„
Owce i kozy	„	20	„	30	„
Świnie (bita waga)	„	138	„	148	za 50 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 5 wrześ.:

Pszenica	Kor.	12 –	do	12·40	za 50 kg.
Żyto	„	10.—	„	10·50	„
Jęczmień	„	8.70	„	9·25	„
Owies	„	8·25	„	8·50	„
Otręby pszenne	„	7·20	„	7·30	„
Otręby żytnie	„	7·—	„	7·25	„

Zagadki do nagrody.

1. SZARADA.

(Ułożył Fr. Marzec).

Atlas, co ciężar dźwiga naszej ziemi,
Pierwszem i drugiem zbrojny potężnemi.
Pierwsze i trzecie słyszeć nam się zdarza,
A jest nazwiskiem księdza i pisarza.
Pierwsze i czwarte kto czyni, docieka
Wielu tajemnic w naturze dla człeka.
Drugie i pierwsze zwierzę znane przecie...
Jest małe — duże i największe w świecie.
Trzeciego z drugiem każdy się obawia,
Bo człeka w przykrem położeniu stawia.
Czwarte i drugie miłe jest każdemu,
Jak ubogiemu, tak i bogatemu.
Całe ci przejście w drodze zatamuje ..
Znany to wyraz — lecz jak się mianuje?

2. SZARADA.

(Walenty Pasierb z Cz.).

Pierwsze mówimy, gdy komu coś dajem,
Drugie z trzeciem nazwa — może być Dunajem;
Trzecie z czwartem ptaki chociaż ich niewiele,
A że istnieją można mówić śmiele.
Trzecie z drugiem wtenczas ma swoje znaczenie
Kiedy matka rózgą da swojej dziecinie.
Trzecie z pierwszem nazwa miasteczka małego
W Galilei, z cudu Chrystusa znanego.
Całość zaś u ludzi da się słyszeć wtedy,
Gdy znosić nie umią swych cierpień i biedy!

3. ZAGADKI rachunkowe.

(Ułożył Andrzej Czachor).

a)

Dwaj bracia mają razem 42 lat. Ile lat ma każdy z nich, jeżeli przed 10 laty był jeden z nich 10 razy starszy od drugiego?

b)

W dwu pokojach znajduje się 30 osób. Gdyby 6 osób przeszło z jednego pokoju do drugiego, byłoby w drugim 2 razy tyle osób, co w pierwszym. Ile osób jest w każdym pokoju.

4. SZARADA.

(Ułożył Robert Rydz).

Pierwsze nazwa ptaka,
W drugie chwytają szczupaka.
Całość nazwisko męża sławnego
I w całej Polsce dobrze znanego.

5. SZARADA.

(Ułożył Piotr Lipowiak).

Pierwsze drugie mów do dzieci,
Powróz mocny drugie trzecie.
Całość w lesie zaś znajdziecie.

6. ZAGADKI.

(Ułożył Józef Kobylański).

a)

Gdzie jest część ciała w tym dwuwierszu:
Najsmutniejszą Polska była,
Kiedy trójca wieszczów żyła.

b)

Pierwsze: laska, kółka dwa,
Drugie część ciała ludzkiego,
Całość zaś zwierzę, żyje
Wśród mieszkania wilgotnego.

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 16 września 1911 roku. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z nru 35 *Roli*: 1. Szarada: **Kulawy,** 2. Szarada: **Karłowaty,** 3. Szarada: **Wysoki,** 4. Szarada: **Okoń,** 5. Szarada: **Kalarepa,** 6. Łamigłówka: **Raszka,** 7. Zagadka: **Wakacye.**

* * *

Dobre rozwiązania wszystkich zagadek nadesłali PP.:

Adam Warchoł z Z., Józefa Hirszberg z K., Jan Kot z L.

Częściowe rozwiązanie nadesłali PP.:

Wojciech Kapuściński z L. (wierszem), Firla Franciszek z G. S., Rudolf Kula z M. K., Józef Ralski z O. (wierszem), Tomasz Orzechowski z U., Kazimierz Szeliga z B., Stefan Dziadyk z M., Mateusz Zięba z O. B., Franciszek Zdeb z Cz. (wierszem), J. Burghardt z S., Stanisław Kumięga z T., Władysław Wołowiec z S. (wierszem), Józef Kulka z B. (wierszem), Moś Jan z Cz., J. Gąsior z S., Juroszek Paweł z I., Józef Kajzer z J., Władek z Łęgu (wierszem), Wawrzyniec Pietrucha z Rz., Paweł Szczepan z N. Karol Cieślar z P.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Na przełęczy*** wylosował p. **Jan Kot** z L., zaś drugą p. t. ***Ciernistym szlakiem*** p. **Adam Warchoł** z Z.

Wydawcy: Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara**
Drukarnia „Czasu" w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.